

ANNA SADURSKA

KAZIMIERZ MICHAŁOWSKI

1901-1981

Nie ma chyba sylwetki trudniejszej do naszkicowania, działalności bardziej opierającej się charakterystyce, aniżeli życie i czyny Kazimierza Michałowskiego. Można oczywiście do wielu biogramów dodać jeszcze jeden, omówić porządnie i po kolei badania teoretyczne, odkrycia terenowe, wyliczyć uczniów, pochwalić wszechstronność, ale wszystko to już było. Poza tym nie da się w ten sposób wyjaśnić, ba nawet zaprezentować, niezwykłego fenomenu w dziejach humanistyki, jakim stała się niewątpliwie wspólna światowa kariera polskiej archeologii śródziemnomorskiej i prof. Kazimierza Michałowskiego. Pragnę być dobrze zrozumiana: Kazimierz Michałowski był człowiekiem oraz uczonym niezwykłym, to znaczy nie lepszym i nie gorszym od wielu swoich kolegów, ale po prostu odmiennym. Wśród licznych nekrologów, pośmiertnych wspomnień i przemówień, jeden tylko tekst uwydatnił tę niezwykłość: „na szczególną uwagę zasługuje postać wymykająca się definicjom, bogata w antytezy, reprezentująca humanistykę, którą najchętniej nazwalibyśmy organiczną” (K. Myśliwiec, „Kultura i Społeczeństwo”, t. XXV, 1981, nr 3-4, s. 3). Z tym sformułowaniem zgadzam się w pełni. Może uda mi się dowieść jego słuszności.

Życie Kazimierza Michałowskiego trwało osiemdziesiąt lat, z czego ponad pięćdziesiąt związanych było z archeologią, na początku klasyczną, a następnie śródziemnomorską, a zarazem z egiptologią i nubią. Tę ostatnią dyscyplinę sam zresztą uformował, stworzył jej ramy organizacyjne i wyznaczył główną kwatery, oczywiście w Warszawie. Działo się to jednak w ostatnich latach życia Profesora, kiedy stał już u szczytu sławy. Ja zaś pragnę nakreślić drogę, która na ten szczyt prowadziła.

Kazimierz Michałowski urodzony w 1901 r. w Tarnopolu ukończył studia wyższe w połowie lat dwudziestych na Uniwersytecie Lwowskim Jana Kazimierza. Lwów był wprawdzie poważnym ośrodkiem studiów klasycznych, ale raczej w dziedzinie filologii, niż archeologii i to na skalę krajową. Cóż zresztą innego można było osiągnąć bezpośrednio po dwóch wojnach (1914-1918 i 1920) w mieście słabo powiązanim z wielkimi cen-

trami nauki europejskiej. Z tego miasta i z tego uniwersytetu Kazimierz Michałowski ruszył w świat. Po pół wieku jego koneksje, bliższe znajomości i przyjaźnie, obejmowały cały świat nauki, licznych premierów, ministrów i dyplomatów, kilku prezydentów i dwie królowe (belgijską Elżbietę i grecką Fryderykę). Był doktorem honoris causa trzech uniwersytetów: w Cambridge, Strasburgu i Uppsali, kawalerem orderów polskich (Virtuti Militari, Polonia Restituta, Budowniczego Polski Ludowej) i obcych (Legia Honorowa, Corona d'Italia, belgijski Krzyż Komandorski z Gwiazdą, Gwiazda Egiptu), z których wymieniam tylko najważniejsze.

W swoim wypełnionym po brzegi życiu pełnił niezliczone funkcje. O kilku najistotniejszych należy wspomnieć. Kazimierz Michałowski był prorektorem Uniwersytetu Warszawskiego, dziekanem Wydziału Humanistycznego (istniał kiedyś na naszej uczelni), sekretarzem generalnym Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, członkiem prezydium Polskiej Akademii Nauk, zastępcą dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie. Był założycielem i kierownikiem Katedry Archeologii Klasycznej (następnie przemianowanej na Śródziemnomorską) Uniwersytetu Warszawskiego, twórcą i kierownikiem Zakładu Archeologii Śródziemnomorskiej PAN. Wykreował w Muzeum Narodowym w Warszawie dwie galerie: Sztuki Starożytnej oraz Fresków z Faras. Założył, o czym wspomniałam wyżej, Międzynarodowe Towarzystwo Nubiologiczne. Za najważniejsze swe dzieło uważał, nie bez racji, Stację Archeologii Śródziemnomorskiej UW w Kairze, pierwszy polski instytut archeologiczny za granicą, wrota na świat nie tylko dla archeologów.

W latach dwudziestych Kazimierz Michałowski, wówczas jeszcze nie docent, był uczestnikiem wykopalisk francuskich na Delos, a w sześćdziesiątych przez lat siedem przewodniczył międzynarodowej komisji UNESCO do ratowania świątyń egipskich w Abu Simbel i jego podpis figuruje na dokumencie złożonym w stalowej skrzyni zatopionej w Nilu po uruchomieniu Wielkiej Tamy.

Pogrzeb profesora zgromadził setki przyjaciół i sympatyków, kolegów i uczniów. Licznie reprezentowany był Korpus Dyplomatyczny i z tego powodu msza żałobna odprawiona została częściowo po francusku. Wspominam te szczegóły nie ze snobizmu. Ten pogrzeb w pewien sposób należał do kariery profesora. Jaki był jej przebieg, jak do niej doszło? Oto pytania, na które trudno znaleźć odpowiedź. Na pewno zastanawiał się czasem nad nimi sam profesor, który przy niezwyklej inteligencji i ogromnych zdolnościach dysponował również ukrytą w głębi duszy odrobiną irracjonalizmu. Tam mieściły się zainteresowania astrologią, umiejętność stawiania horoskopów i inne odmiany wiedzy tajemnej. W gronie powojennych studentów nosił kryptonim „d'Astarac” (bo wtedy czytywaliśmy jeszcze powieści Anatola France'a). W tym zakątku osobowości, do którego nie miało dostępu chłodne rozumowanie, mieściła się przede wszystkim niezwykle intuicja. Ona to zapewne podpowiadała Profesorowi w trud-

niejszych chwilach taki sposób postępowania, aby w określonych warunkach uzyskać optymalne rezultaty.

Gromadząc wokół siebie zastępy uczniów całe życie poszukiwał K. Michałowski wśród nich alter ego. Akcja ta była w zasadzie z góry skazana na niepowodzenie, bo tak złożona osobowość z natury rzeczy jest niepowtarzalna, ale raz jeden znalazł się Profesor blisko celu. Uczeń był niezwykle udany i na każdym kroku dostarczał swemu Mistrzowi pełnej satysfakcji. Tym ciężiej przeżył profesor tragiczny finał tej przyjaźni i współpracy. Była to klęska, jedna z nielicznych w Jego karierze dydaktycznej.

Profesor wykształcił w Polsce około dwustu archeologów, w tym trzydziestu doktorów, sześciu docentów i trzech profesorów (przedstawiam oczywiście stan z 1981 r.). Jak to osiągnął, to także zagadka, bo przecież nie w zwykły, akademicki sposób. Liczne i coraz dłuższe wyjazdy na wykopaliska, kongresy, konferencje, z wykładami na uczelniach zagranicznych, na czele Komisji UNESCO do Górnego Egiptu, i in., nie pozwalały mu na prowadzenie w Warszawie regularnych zajęć. Może dlatego te nieczęste wykłady, a jeszcze bardziej seminaria, późno rozpoczynane i przeciągające się do wieczora, nabierały szczególnych walorów, przekształcając się w uroczyste sympozja.

Powojenne dzieje seminarium prof. Michałowskiego są wielce pouczające, jeśli chodzi o jego tryb postępowania. Zaczęło się od kilku osób, nawet nie wyłącznie archeologów. W latach 1946 - 1950 reprezentowana była wśród seminarzystów historia sztuki, filologia klasyczna i orientalistyka. Tematyka wypływała logicznie z przedwojennego dorobku Profesora: portret grecki i rzymski, architektura dorycka i jońska, twórczość Fidiasza i Polikleta, kanon w sztuce egipskiej. Przeważała problematyka stylu i formy, obowiązywały lektury bardzo trudne i szczerze mówiąc niezbyt nas interesujące, wyłącznie francusko- i niemieckojęzyczne. Ten stan rzeczy nie trwał jednak długo. W latach pięćdziesiątych już nie kilka, lecz dwadzieścia kilka osób zasiadało w czwartkowe popołudnia wokół długiego stołu w tzw. lektorium (siedzibą katedry był wówczas lokal na II piętrze w Gmachu Pomuzealnym, tj. w dzisiejszych pomieszczeniach dziekanatu Wydziału Historycznego). Rozwój ten należy szczególnie podziwiać z dwóch przyczyn. Przede wszystkim nadeszły wówczas bardzo złe czasy dla humanistów, zwłaszcza tych z piętnem Zachodu, a ponadto sztuka klasyczna uległa w owym czasie potępieniu jako elitarna oraz idealistyczna. Profesor uspokoił nas jednak: „to tylko kwestia terminologii, trzeba się do niej dostosować”. W tych fatalnych czasach napisał kilka interesujących rozpraw teoretycznych, np. o genezie tryglifu (trójżłobienia alternujące z metopami w belkowaniu świątyni) w architekturze doryckiej, o realizmach (właśnie tak, w liczbie mnogiej) w sztuce starożytnej, o portrecie hellenistyczno-rzymskim. Może niezupełnie przekonujący był stworzony przez Profesora termin „realizm eklektyczny”, a wprowadzenie do historii greckich porządków architektonicznych pojęć

bazy i nadbudowy w znaczeniu marksistowskim budziło niejaki wątpliwości, ale za tę cenę ocalona została bogata problematyka, wówczas niewątpliwie najważniejsza w naszej dyscyplinie. „Nie możemy przecież pozwolić — powiedział — żeby z całej sztuki greckiej pozostała jedynie Stara Pijaczka” (hellenistyczna rzeźba rodzajowa).

Terror zataczał jednak coraz szersze kręgi. Sztuka antyczna popadała w oczywistą niełaszkę. Na szczęście wolno było zajmować się tym, co określił w swoim programowym artykule Bronisław Biliński — hezjo-dejskim aspektem starożytności, czyli prostym ludem i jego pracą. Dla archeologa oznaczało to zwrot w kierunku problematyki związanej z rzemiosłem i jego wytworami, zwłaszcza najprostszymi, możliwie brzydkimi i pozbawionymi dekoracji. „Inteligencja jest to umiejętność dostosowywania się do okoliczności”, stwierdził Profesor, którą to maksymę konsekwentnie realizował. Ogłosił odpowiedni wykład przez wdzięcznych słuchaczy nazwany maszynoznawstwem oraz napisał trzy książki na temat różnych technik w starożytności.

Tymczasem seminarium, choć może się to wydawać dziwne, wkroczyło w niezwykłą prosperity nie tylko naukową, lecz także finansową. Spowodowało ją zamówienie na podręcznik kostiumologii i scenografii dla potrzeb polskiego teatru i filmu. Były to przecież lata pięćdziesiąte. Reżyserów obowiązywał realizm oraz klasowe podejście do tematu. Orestes i Elektra na przykład mieli być ubrani jak bogaci Grecy z V w. p.n.e., a ewentualny Spartakus tak, aby każdy poznał, że jest to rzymski niewolnik. Nadto sprzęty, naczynia, ozdoby i wszelkie inne akcesoria miały stwarzać złudzenie rzeczywistości przez mocne osadzenie w realiach epoki. Pracy było z tym mnóstwo, ale i nas, autorów niemało. Napisaliśmy wspólnie grube dzieło, które niestety pozostało na zawsze w maszynopiśmie i nawet bogaty sponsor, Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna, nigdy z niego nie skorzystał. My natomiast opanowaliśmy świetnie jeden z przedmiotów, tzw. życie codzienne w starożytności, no i podreperowaliśmy nasze ubożuchne budżety.

Po 1956 r. sytuacja zmieniła się radykalnie. Profesor odnowił przedwojenne kontakty, zaczęli przyjeżdżać Francuzi, Anglicy, Holendrzy, Szwajcarzy, a z czasem nawet Amerykanie. Byli to z reguły klasycy lub egiptolodzy, zawsze o wybitnym autorytecie naukowym. Profesor dbał bowiem, aby sprowadzać tylko „pierwszy garnitur”. Uczeni ci wygłaszali wykłady, udzielali konsultacji, demonstrowali nowe metody pracy i najważniejsze odkrycia. Znowu zaczęła bogacić się biblioteka, a seminaria przekształciły się w prawdziwe zebrania naukowe, jako że poza studentami brali w nich udział coraz liczniejsi doktoranci, a także przeróżni zapraszani specjaliści.

Teraz muszę cofnąć się w czasie, aby wyjaśnić, że nigdy, nawet w najgorszym okresie, Profesor nie dawał swoim studentom tematów prowadzących do czystej kompilacji. Praca magisterska czy nawet dysertacja

doktorska niemal z reguły miały za punkt wyjścia zespół oryginalnych zabytków, przeważnie ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie. Dzięki tej zasadzie, jeśli nawet właściwa rozprawa nie grzeszyła oryginalnością, to przynajmniej pozostawał pożyteczny katalog zabytków oraz, co może nawet ważniejsze, kształcił się nowy specjalista w określonej dziedzinie. Profesor czuwał nad tymi pracami w sobie właściwy sposób. Nie udzielał wskazówek merytorycznych wychodząc z założenia, że to autor powinien znać się na swoim temacie lepiej od kogokolwiek, ale metodologicznie zwykle trafiał w sedno. Poza tym zdobywał dla uczniów książki i fotografie, mikrofilmy i odbitki, ba, nawet dyktował obcojęzyczną korespondencję, związaną z przygotowywanymi publikacjami. Zachęcał bowiem do ogłaszania drukiem, możliwie szybko, wyników badań i to w języku obcym, aby poddać je pod dyskusję i krytykę na szeroką skalę. Miał też zasadę, którą realizował przez wiele lat. Wszystkie teksty swoich uczniów przeznaczone do druku czytał bardzo starannie. Czuł się bowiem odpowiedzialny za całą swoją szkołę.

Tematyka prac magisterskich, a wraz z nimi posiedzeń seminaryjnych przekształcała się gruntownie w erze wykopalisk, w którą profesor wstąpił wraz ze swoim wcale już licznym gronem uczniów w 1956 r. Każde nowe stanowisko, a przybywało ich w owym czasie wiele (Mirmekion, Athribis, Aleksandria, Palmyra, Faras, Dongola, Nea Paphos), dostarczało problemów wypływających z lokalnej specyfiki, nie zawsze zgodnych z przewidywaniami. Na pierwszym powojennym stanowisku, w Mirmekion, natknęliśmy się na tłocznię wina oraz wysypisko potłuczonych glinianych amfor o stemplowanych imadłach. W Athribis, w Egipcie, do którego profesor tęsknił od ostatniej kampanii w Edfu (1939) do pierwszej w Aleksandrii (1956), zamiast upragnionych mastab i kartonaży na światło dzienne wyszła bateria pieców oblepionych szklistą szlaką (wapienniki) i zbiorniki czystego piasku starannie obłożone cegłą mułową. W Aleksandrii Egipcjanie prosili oczywiście o odszukanie grobowca Aleksandra Wielkiego, udostępniając w tym celu podziemia meczetu Nabi Daniel. W Palmyrze domagały się odczytania inskrypcje w języku semickim (język palmyreński jest odmianą aramejskiego), datowania lokalne portrety, interpretacji wizerunki bogów, nie mających nic wspólnego z greckim panteonem. Co zaś najważniejsze, należało rozstrzygnąć wielki spór, toczony od początku XX w. o nazwę i funkcję monumentalnej budowli stanowiącej główny cel badań polskiej misji. Wkrótce „wybuchło” Faras z malowidłami chrześcijańskimi i to z okresu wczesnego średniowiecza, z architekturą sakralną i napisami koptyjskimi. Najmniej niespodzianek dostarczyło rozległe, bogate domostwo w Nea Paphos na Cyprze, jeśli do nich nie zaliczać wspaniałych rzymskich mozaik zamiast oczekiwanej greckiej rzeźby.

Wszystkie te stanowiska archeologiczne, a także kilka innych obejmował prof. Michałowski w latach 1956 - 1965, a więc w wieku nie pierw-

szej młodości. Do 1970 r. nie wypuszczał jednak z rąk steru swojej, jakże mocno obciążonej nawy. Przez lat piętnaście sam prowadził podczas każdej kampanii (a odbywały się one corocznie) dziennik wykopalisk oraz inwentarz zabytków, i to nie po polsku, lecz w jednym z języków kongresowych, aby zyskać materiał gotowy do publikacji. Sam interpretował ważniejsze obiekty, datował malowidła i rzeźby oraz publikował corocznie tak zwane raporty, w rzeczywistości zaś kompletne opracowania odsłanianych odcinków. Nie mógł oczywiście opanować od podstaw tak wielu dziedzin i nawet tego nie próbował. Organizował ekipy i na swoim seminarium czuwał nad dostarczeniem im potrzebnych specjalistów. Tak powstały rozliczne rozprawy związane ze stanowiskami archeologicznymi: o handlu winem w greckich koloniach nadczarnomorskich, o funkcjach użytkowych stemplowanych amfor, o architekturze świątynnej w Delcie Nilu i o rozplanowaniu starożytnej Aleksandrii. Wielu tematów dostarczyła ikonografia bóstw palmyreńskich oraz wizerunki zmarłych, znajdowane w grobowcach pustynnego miasta. Obszerne dysertacje poświęcone zostały palmyreńskiej architekturze oraz topografii historycznej.

Szczególnie liczne grono zajęło się malowidłami z katedry w Faras, które z kolei wymagały przygotowania z teologii i historii Kościoła.

Dzięki wykopaliskom rozwinęły się wspaniałe dziedziny uprzednio słabo, albo wcale, w nauce polskiej nie reprezentowane, jak np. epigrafika palmyreńska i koptyjska, albo sfragistyka grecka i łacińska, nie mówiąc o nubioлогии, która uprzednio w ogóle nie istniała. Warszawa stała się żywym ośrodkiem badań nad kulturą palmyreńską z własnym specjalistycznym periodykiem („Studia Palmyreńskie”) i nad Kościołem koptyjskim. Na seminarium Profesora zabierali też głos jego współpracownicy, nie archeolodzy. Architekt Wiesław Koziński referował swoją arcyciekawą rozprawę o piramidzie Cheopsa, wbrew wszelkim przypuszczeniom całkowicie oryginalną, opartą na rekonstrukcji procesu jej budowy. Antropolodzy przy pomocy kryminologów prezentowali modele głów biskupów pochowanych przy katedrze w Faras. Teolodzy roztrząsali różnice występujące pomiędzy obrządkami wschodnimi w starożytności. Uczniom profesora nie brakowało więc tematów do opracowania, od referatów seminaryjnych po rozprawy habilitacyjne. W pełni została zrealizowana zasada badań interdyscyplinarnych oraz niezmiernie wówczas modny i w dodatku słuszny postulat ścisłego kojarzenia dydaktyki uniwersyteckiej z działalnością naukową wykładowców.

Teraz jednak kolej na najtrudniejsze pytanie: jak to się stało, że jeden z biedniejszych krajów Europy nie tylko założył zagraniczny instytut archeologiczny, lecz także uzyskał tak liczne stanowiska wymagające wieloletniej eksploracji, czyli dające możliwość długofalowych działań? Do pewnego stopnia odpowiada na to pytanie sam Profesor, zamieszczając w swoich niedokończonych, niestety, pamiętnikach znamienne zdanie: „Przez kilka minionych dziesiątków lat byłem, jak to się powiada

«w grze» i zapewne wiele ważnych dla dziejów obyczaju i kultury polskiej informacji mogłyby przynieść moje wspomnienia o ludziach nauki i sprawach nauki tego okresu” (K. Michałowski, *Wspomnienia*, Warszawa 1986, s. 203). Otóż Profesor nie tylko „był w grze”, ale i grał. Grał, bo musiał, a może też i lubił. W każdym razie potrafił wygrywać. Pomagała mu w tym owa niezwykła intuicja, o której wspomniałam, a także druga po wiedzy tajemnej dziedzina zainteresowań ubocznych — polityka międzynarodowa.

Warto popatrzeć na mapę polityczną świata, zwłaszcza basenu Morza Śródziemnego i porównać ją z rozmieszczeniem polskich stanowisk archeologicznych. Równocześnie jednak należy starannie przestudiować historię trzeciego ćwierćwiecza XX w. w Polsce i gdzie indziej. Nie bez przyczyny wykopaliska powojenne rozpoczęły się w Posiołku im. Wojkowa na Krymie (a swoją drogą, co za niezwykły zbieg okoliczności!). Nie bez przyczyny polscy archeolodzy zapuścili korzenie nad Nilem w okresie rządów Nassera i budowy Wielkiej Tamy. Polityka międzynarodowa uniemożliwiła wprawdzie kontynuację badań w Związku Radzieckim, ale ułatwiła penetrację Syrii, Sudanu, Iraku i Cypru.

Takie a nie inne ukierunkowanie badań zostało niewątpliwie narzucone przez układy polityczne i ekonomiczne, ale przecież potrzebna była nie byle jaka siła przebicia, aby te układy wykorzystać dla potrzeb dyscypliny przynoszącej korzyści przede wszystkim pozamaterialne. Przede wszystkim, ale nie wyłącznie. Tu właśnie kryła się karta atutowa profesora. Rzucił ją na biurka decydentów krajowych: jest możliwość powiększenia naszych bardzo ubogich zbiorów o zabytki z własnych wykopalisk uzyskane drogą partażu, czyli podziału do spółki z gospodarzami. W ten najszlachetniejszy sposób można uzupełnić lukę powstałą w muzeach polskich wskutek długich lat rozbiorów i okupacji, nie wspominając już o rabunku i rozbojach. Wykopaliska umożliwiły legalne zdobycie przedmiotów o wymiernej, na ogół bardzo wysokiej, wartości handlowej. Tę kartę uzupełniały, a czasem musiały ją zastąpić inne, także ważne: nawiązywanie kontaktów i okazanie pomocy krajom rozwijającym się. Sytuację polepszała oczywiście skromność dezyderatów. Myśmy musieli tanio żyć i pracować. Wydatki na archeologów były więc nieporównywalne z kosztami wysyłania ekip sportowych, filmowych lub im podobnych, a efektywność działań na pewno nie mniejsza.

Istniał też drugi front batalii: decydenci-gospodarze. Tam kartę atutową stanowiła po prostu przyjaźń zdobywana osobistym czarem i niezwykłą umiejętnością docierania do najczulszych strun w osobowości partnera. Czasem graniczyło to nawet z łagodnym terrorem. Pamiętam na przykład, jak informację o realnych możliwościach naszych badań w Mirmekion wyciągnął profesor od Wiktora Francewicza Gajdukiewicza trzymając go godzinę w morskiej kąpieli, w odległości około metra od brzegu. Rozmowa przyniosła pożądany rezultat i chociaż panowie poznali się

tuż przed rozpoczęciem wykopalisk, to przecież Wiktor Francewicz stał się dozgonnym najgorętszym przyjacielem Profesora, Polaków i Polski. Podobnie potoczyły się sprawy z ówczesnym dyrektorem Starożytności Syrii, przelotnie poznanym na międzynarodowej konferencji, Selimem Abdul Hakem. Syria w okresie antyfrancuskim (po zrzućeniu mandatu) potrzebowała archeologów z innych krajów. Konkurencja była wprawdzie duża, ale dla Abdul Haka wchodził w grę tylko jeden uczoney, któremu mógłby ofiarować najwspanialsze stanowisko, jakim dysponował — Palmyrę — jedno z najsłynniejszych na świecie.

Profesor potrafił zresztą wciągnąć w swoją orbitę nie tylko decydentów. W Mirmekion, gdy młoda dziewczyna zwróciła się do niego na wykopie per „dieduszka”, została surowo pouczona przez starszą robotnicę: „eto nie dieduszka, eto pan profiesor” z należyty m naciskiem na „pan”. W Tell Atrib stary rais Hameda, który znał profesora jeszcze z lat trzydziestych, z wykopalisk w Edfu, sadowiąc się na profesorskim kocu pod murkiem oznajmiał: „Burfesor, between you and me is only God”. W Palmyrze potrafił rozbroić nawet niezłomnego Obeida Tahe, który podsunął dyskretnie polskiej misji własne odkrycie (grobowiec uprzednio przez Obeida zlokalizowany). W teży Palmyrze zainteresował profesor naszymi odkryciami Indirę Ghandi, jej ojca oraz premiera Argentyny przebranego za arabskiego szejka. Nie udało się tylko z emirem Qattaru, ale to naprawdę była forteca nie do zdobycia, a może kontakt obu panów trwał zbyt krótko.

Jak wspomniałam na wstępie, za najważniejsze swe dzieło uważał prof. Michałowski kairską Stację. Projekt jej istniał od dawna, ale bezpośrednio umożliwił to posunięcie roczny pobyt K. Michałowskiego w Aleksandrii w charakterze „visiting Professor”. Po tym już z reguły to jego proszono gorąco o objęcie kolejnych wykopalisk, a nie odwrotnie. Mogąc wybierać, przyjmował przede wszystkim propozycje wróżące pozytywne wyniki, a miał w tej materii świetne rozeznanie. Dopiero kiedy dobiegał siedemdziesiątki, odrzucił zaofiarowane mu bardzo ponętne stanowisko w Mohenjo Daro. „Gdybym był młodszy...” — powiedział. Nie chciał już oddalać się od krain, które przyniosły mu sławę, które znał i lubił.

Profesor lubił podkreślać, że życie jego nie płynęło po różach, lecz przeciwnie wszystko musiał zdobywać ogromnym wysiłkiem. Wysiłek taki musiał między innymi podjąć w walce z sobą samym. Niezwykle wytrzymały na głód, pragnienie i upał cierpiał na silny lęk przestrzeni i chorobliwy uraz do węzów. Starał się w miarę możliwości o dobre warunki pracy ekspedycji, a przede wszystkim dbał o należytą kondycję psychiczną ekipy. Wiedział, że to warunkuje wydajną pracę, a była ona naprawdę niezwykle intensywna. W zasadzie po kampanii maszynopis w języku obcym (francuskim lub angielskim) był niemal gotowy do druku. Profesor uważał, że publikowanie „na gorąco” to najważniejsza zaleta jego szkoły, którą określał jako polską szkołę archeologii śródziemnomorskiej. Za inną

jej cechą specyficzną uważał wyłączność korzystania z oryginalnych zabytków oraz interdyscyplinarność.

Podsumowując działalność prof. Kazimierza Michałowskiego nie sposób rozgraniczyć osiągnięć czysto naukowych oraz organizacyjnych. Nie był profesorem oczywiście ani pierwszym, ani jedynym w Polsce archeologiem klasycznym. Dyscyplina istniała już od dawna, ale pod jego wpływem dokonała w naszym kraju zasadniczego zwrotu i przybrała nową formę. Przede wszystkim nastąpiło charakterystyczne dla warszawskiego środowiska przesunięcie zainteresowań z klasycznych centrów kulturowych (Ateny, Rzym) na wschód, w stronę Egiptu z Nubią i Syrii z Irakiem. Osłabło zainteresowanie zabytkami sztuki starożytnej zgromadzonymi w muzeach i galeriach na rzecz materiałów źródłowych pozyskanych we własnych wykopaliskach. Jest to zresztą trend panujący teraz powszechnie w archeologii. Przynosi on niewątpliwie pewien uszczerbek badaniom nad kulturą antyczną sensu stricto, ale nie wolno go lekceważyć ani ignorować. Dzięki prof. Michałowskiemu polskie środowisko nie pozostało na marginesie ani w ognie tych badań.

Z tego względu założenie stacji w Kairze należy zaliczyć do najważniejszych osiągnięć, zwłaszcza że, poza archeologami, korzystają z niej orientaliści, historycy, architekci, antropolodzy, konserwatorzy zabytków i in. specjaliści. Stacja bez wyszkolonej kadry byłaby jednak martwą placówką, a kadreę szkoliła cały czas Katedra Archeologii Śródziemnomorskiej UW założona przez profesora w 1930 r. i przez pół wieku przez Niego programowana.

Najlepsze wykopaliska zmarnują się, jeśli nie zostanie sporządzona prawidłowa ich dokumentacja, a następnie nie zostaną opublikowane wyniki badań. Do tych zadań przeznaczył prof. Michałowski Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej PAN, założony w 1956 r. Wolni od zadań dydaktycznych jego pracownicy mogli zająć się gromadzeniem i opracowaniem materiałów. W ciągu lat kilkunastu prężny i zgrany zespół przekroczył te ramy. Zakład rozwinął się w solidną placówkę naukową prowadzącą obok własnych badań liczne serie wydawnicze, wykopaliska i najlepszą w Polsce bibliotekę specjalistyczną.

W Muzeum Narodowym w Warszawie powstały dzięki prof. Michałowskiemu dwie galerie. Galeria Sztuki Starożytnej otwarta została w 1938 r. Był to zbiór skromny i takim pozostał, pomimo wzbogacenia go o zabytki z polskich wykopalisk, przede wszystkim z Edfu oraz o obiekty z prywatnych zbiorów opuszczonych przez właścicieli lub upaństwowionych po wojnie. Natomiast uzyskane przez profesora, w drodze parcia, malowidła ścienne z Faras stanowią klasę. Ta galeria może konkurować z odpowiednimi wystawami Luwru lub Ermitażu. Dlatego między innymi profesor darzył wykopaliska w Faras (1961 - 1964) szczególnym sentymentem.

Wszystkie te zabiegi organizacyjne i wiele innych doprowadziły nie

tylko do przekształcenia profilu naszej archeologii śródziemnomorskiej, lecz także do pewnych zmian ilościowych i jakościowych. Dyscyplina stała się jedną z najpopularniejszych w kraju. O każde z dziesięciu miejsc przyznawanych rocznie na Uniwersytecie Warszawskim ubiegało się dwunastu kandydatów. Można było dzięki temu utrzymać bardzo wysoki poziom i wypuszczać naprawdę doskonałych absolwentów. Nie bez przyczyny spotykamy ich obecnie na wyższych uczelniach, w muzeach i instytucjach, w kraju i poza jego granicami.

Profesor zostawił jednak nie tylko uczniów oraz instytucje, lecz także pokaźny dorobek naukowy. Zaczął publikować zaraz po studiach, korzystając z trzyletniego pobytu w École Française d'Athènes i udziału w jej pracach. Pod jego piórem powstał w 1932 r. trzynasty tom serii Delos poświęcony portretom statuarycznym znalezionym na wyspie. Uzyskały one nową klasyfikację i interpretację. Pod koniec lat trzydziestych uległ profesor fascynacji Egiptem, która właściwie nie opuściła go do końca życia. Opublikował obszerny tom poświęcony zabytkom odkrytym w Edfu oraz wykrył w Muzeum Kairskim egiptyzujący portret cesarza Augusta. Niewątpliwie w dorobku powojennym najważniejszy jest tom poświęcony sztuce egipskiej opublikowany w czterech językach i sześciu krajach (np. *L'art de l'ancienne Egypte*, Paryż 1968). Zawarł w nim autor swoje przemyślenia nad kanonem stosowanym przez egipskich artystów.

Wspomniałam już teoretyczne rozważania nad genezą porządku doryckiego w architekturze greckiej. W rozliczonych opracowaniach wyników polskich wykopalisk, a jest ich łącznie kilkanaście tomów, zawarł autor wiele odkryć szczegółowych, niekiedy fundamentalnych dla danej kultury. Są one jednak interesujące przede wszystkim dla specjalistów.

Popularyzację zaczął wprowadzić prof. Michałowski przed wojną (*Delfy*, pierwsze wydanie we Lwowie w 1937 r., drugie i trzecie w Warszawie, w latach 1949, 1959), lecz po tym podjął ją stosunkowo późno (*Nie tylko piramidy*, Warszawa 1966, 1969; *Jak Grecy tworzyli sztukę*, Warszawa 1970; *Od Edfu do Faras*, Warszawa 1974). Także i ona odbiegała od powszechnie przyjętych wzorów. Autorowi przyświecały bowiem dwa cele: zaszczerpić czytelnikowi świadomość polskich osiągnięć i wprowadzić do literatury polskojęzycznej nowe ujęcia materii przedmiotu. W rezultacie zgromadzone są w tych tomach rozliczne hipotezy własne lub cudze, ale zaakceptowane przez profesora z całym przekonaniem. Nie wszystkie wytrzymały próbę czasu, ale za to stanowią ciekawe świadectwo wysoce indywidualnego, nieco przekornego spojrzenia na relikty starożytności.

Typowym przykładem tej twórczości jest dziełko pt. *Jak Grecy tworzyli sztukę*, jedna z najbardziej udanych książek Kazimierza Michałowskiego, którego zainteresowania obejmowały wiele dawnych kultur, ale który wykształcił się przecież w młodości na świetnego historyka sztuki starożytnej Grecji.

W popularnonaukowej literaturze francuskiej istnieje formuła poprzedzająca zwykle wykaz bibliografii przedmiotu: „pour en savoir plus” — aby na ten temat wiedzieć więcej. Skorzystam z niej na użytek tych czytelników, których nie zaspokoi mój tekst, celowo subiektywny. Najwięcej informacji o Kazimierzu Michałowskim zawierają biograficzne rozprawki jego najstarszej uczennicy, jedynej, która pamięta studia pod kierunkiem profesora i współpracę z nim w latach przedwojennych. Mam tu na myśli pozycje pióra M. L. Bernhard publikowane w: „Eos”, R. LXX, 1982, s. 5 - 23; „Nauce Polskiej”, 1981, nr 9 - 10, s. 155 - 170; *50 lat polskich wykopalisk w Egipcie i na Bliskim Wschodzie*, Warszawa 1986 (praca zbiorowa), s. 17 - 22; ibidem, s. 23 - 28 — omówione wykopaliska w Edfu, z pełną bibliografią oraz *Kazimierz Michałowski, Wspomnienia*, Warszawa 1986, s. 5 - 26 (*Słowo wstępne*). Najnowszą pozycją, częściowo poświęconą K. Michałowskiemu, jest *Posłowie Witolda Dobrowolskiego do dzieła R. Bianchi Bandinello, Archeologia klasyczna jako historia sztuki*, Warszawa 1988, s. 216 - 235. Pełną bibliografię profesora opublikowały W. Zdrojewska i B. Wiśniewska, „Rocznik Muzeum Narodowego w Warszawie”, R. XXV, 1981, s. 7 - 24. Nieocenionym źródłem informacji są cytowane wyżej *Wspomnienia* spisane wprawdzie pod koniec życia (1976 - 1978), ale dociągnięte w zasadzie tylko do 1968 r., z wieloma dygresjami sięgającymi w lata siedemdziesiąte. Liczne, choć nie wszystkie nekrologi i pośmiertne wspomnienia cytowane są w zestawionej przez Piotra Tarachę *Bibliografii*, „Archeologia”, R. XXXVI, 1985, s. 136 - 137, poz. 59 - 87.